

Rejs Sardynia – Korsyka - Sardynia

Kto wpadł na ten pomysł? Oczywiście Krzyś Spajderek ☺. Jeszcze na początku roku zagaił, że może by tak uczcić nasze zakończenie studiów MBA na UW z odpowiednim rozmachem i tak oto na wrześniowy rejs wybrała się załoga w poniższym składzie:



Czyli po prostu kwiat absolwentów MBA...

Startowaliśmy z Marina Cala dei Sardi w Portisco koło Olbii na Sardynii, gdzie wszyscy dotarliśmy różnymi drogami: jedni dolecieli samolotami, inni wypróbowali podróż przez interior pociągiem a niektórzy dotarli autobusem – grunt, że wszyscy dotarli na miejsce ...

Ci z najwcześniejszego samolotu porwali z wypożyczalni samochód i załadowali go po sufit prowiantem różnej maści, zgodnie z przygotowaną wcześniej przez Krzyśka listą. Każda z załóg załadowała jeden wózek prowiantem a drugi czymś do picia (w tym zakupionych zostało 75 litrów wody ☺).

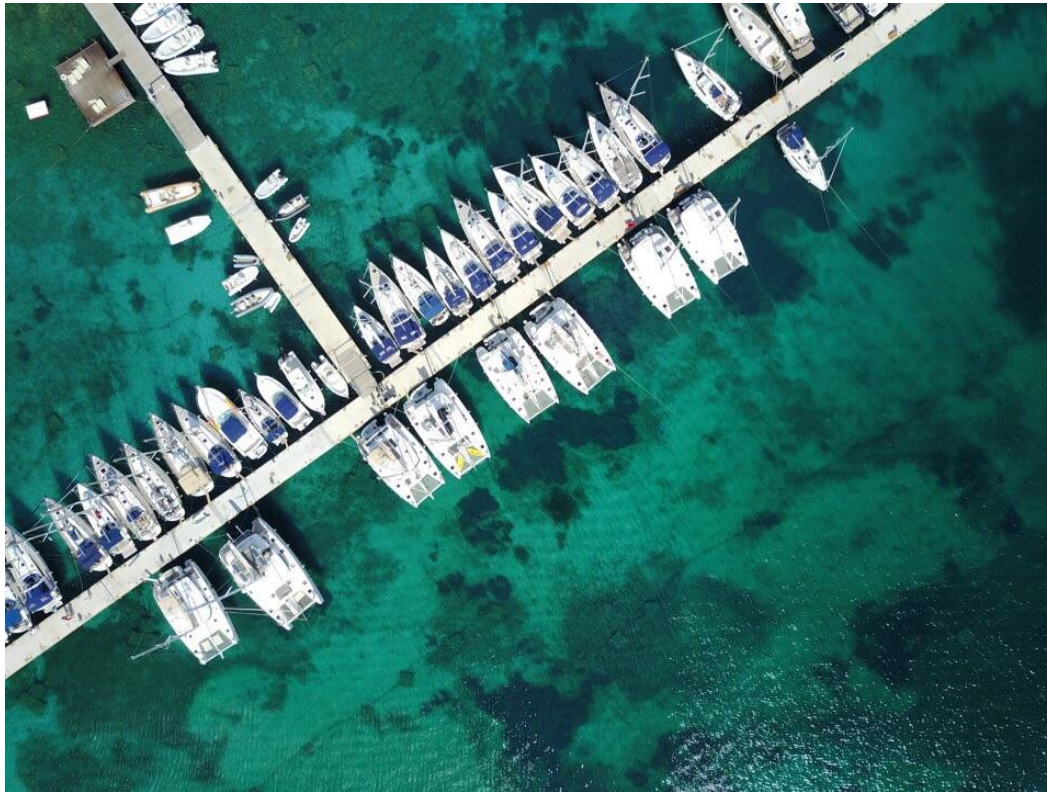
Zakupy przewieźliśmy czerwonymi taczkami. Przejeźliśmy dwa jachty: Peacock oraz Spica. Tym ostatnim poprzednia załoga tak poszalała, że uszkodziła grot, który trzeba było naprawić. Kilka innych drobnych rzeczy też było do poprawki.



Marina Cala dei Sardi to śliczne miejsce na końcu świata, gdzie poza samą mariną jest jeszcze góra i droga, więc zrezygnowaliśmy z wycieczek w okoliczne chaszczki i zasiedliśmy w lokalnej knajpie delektując się, czym kto lubił: kalmarami, mulami czy zwykłymi burgerami.

Po kolacji przenieśliśmy zajęcia integracyjne na jachcie Peacock, gdzie trwały do późnej nocy.

Ranek rozpoczęliśmy od przetestowania drona Rafała. Spisał się tak:



La Maddalena znalazła się na początku naszej trasy nieprzypadkowo. To urocze miasteczko, po którym można się cudownie powąłęsać, pełne knajpek i ciasnych uliczek. Ale nie oszukujmy się, kluczowy był pewien niepozorny sklepik w porcie promujący lokalne wina, gdzie obie łódki zaopatrzyły się sownie w różnorakie gatunki białe i czerwone nalewane z beczek do plastikowych butelek. Wieczorem odbyło się zbiorowe ich degustowanie na Spice. Taka degustacja doskonale pogłębiła integrację. Dochodziło nawet do chóralnych śpiewów, aż sąsiadujący z nami Austriacy poczuli ewidentną zazdrość...

[illegible]

W międzyczasie Rafał śledził wszystkich z drona:





Po takim śniadaniu mogliśmy zrobić tylko jedno - popłynąć na fantastyczną plażę z błękitną wodą i białym piaseczkiem. I tak właśnie uczyniliśmy...



Peacock pierwszy rzucił kotwicę, a jego załoga oddała się urokom kąpieli podziwiając różnorodne rybki. Załoga Spici z kolei, przy pierwszej próbie rzucenia kotwicy, odkryła, że złamany grot i nieskalibrowany wiatromierz nie były jedynymi problemami, jakie dostaliśmy w spadku po poprzednich użytkownikach łódki. Tempo, w jakim kotwica opadała ku morzu, pozwoliłoby na powrotny dryf do La Maddaleny. Nie bardzo za to pozwalało na skuteczne i szybkie zakotwiczenie w małej zatoczce. Niemniej jednak bohaterskie i dość karkołomne poświęcenie całej załogi oraz stalowe nerwy skippera doprowadziły jacht Spica do sukcesu i załoganci mogli zrzucić z siebie adrenalinę w lazurowej wodzie.

W tym czasie załoga Peacock ze spokojem delectowała się kąpielą. Choć niektórzy zakończyli tę przyjemność wcześniej, aby przygotować przekąseczkę:



Potem kurs na Bonifacio na Korsyce. Wszystkie doniesienia ostrzegały, że na przesmyku między Sardinia i Korsyką lubi przywiać i faktycznie płynęło się cudnie i z dobrą prędkością racząc się po drodze interesującymi konwersacjami na różne tematy, jak to na łajbie.

Jednak im bliżej podpływalismy do Korsyki i im wyraźniej rysowały się na klifie malownicze domy Bonifacio, tym mocniej wiał wiatr, tym więcej chmur pojawiało się na niebie a czynnik chłodzenia wiatrem dawał się we znaki. Ku naszemu absolutnemu zaskoczeniu, Bonifacio powitało nas deszczem.



Zacumowaliśmy i tradycyjnie poszliśmy w miasto na małe co nie co. Załoga jachtu Peacock jednomyślnie uznała, że lokalne kuchnie, zarówno sardyńskie jak i korsykańskie, nie dorastają do pięt umiejętności naszego Generała Kocika, który pełnił funkcję szefa kuchni. Natomiast załoga jachtu Spica, pozbawiona tak dobrego porównania, z równą przyjemnością raczyła się w miejscowych knajpkach, jak i grupowo przyrządzanym makaronem.



Wieczór był urozmaicony, ponieważ impreza rozpoczęła się na jachcie Spica, przeniosła się później na Peacocka, a następnie na małą „motoróweczkę” zapoznanych za dnia Polaków:



W takich okolicznościach przyrody tematy były okołobiznesowe, a wiedza nabyta na studiach bardzo nam się przydała...

Rankiem obudziło nas śliczne słońce i SMS od armatora, że doradza pozostanie dzisiaj w porcie, bowiem wiatr będzie przekraczał w porywach 80 km/h. Uznaliśmy, że to się świetnie składa, bo i tak Bonifacio godne jest całodziennego zwiedzania. Ruszyliśmy w miasto, a że położone jest ono na przepięknych klifach to apka naszej koleżanki pokazała przejście 14 564 kroków i 70 pięter, co okazało się być jej życiowym rekordem. Widoki godne były tego wysiłku:





Załoga jachtu Spica oddawała się dokumentowaniu pięknych widoków za pomocą bardziej tradycyjnych narzędzi, t.j. swoich smartfonów.



Po tym wyczerpującym wysiłku szef kuchni zaserwował nam krewetki na dwa sposoby:



Romantycznie usposobieni tą wspaniałą wyżerką, część grupy postanowiła podziwiać zachód słońca z klifów. Zachód wyglądał tak:



A my tak:



Wieczorem załogi się podzieliły: część imprezowała na Spice, a część oddała się intelektualnej grze w Dixit, która okazała się super wciągająca.

Rankiem okazało się, że dla niektórych noc ta była pełna innych przygód, o czym świadczyły portfel oraz komplet ciuchów suszących się na relingu...

Uzupełniliśmy aprowizację w miejscowym sklepie i ruszyliśmy dalej wzdłuż wschodniego wybrzeża Korsyki do Porto Vecchio. Oczywiście po drodze był obowiązkowy przystanek na kąpiel. Ponieważ znajdowaliśmy się na terenie parku narodowego przycumowaliśmy przepisowo do bojki w pobliżu wyspy Lavezzi, skąd na plażę niektórzy udali się wpław, a niektórzy przetransportowani przez Mariusza pontonem (razem z bezcennym dronem).



Tego dnia udało nam się nawet zagrać roberka w brydżyka, chcieliśmy więcej, ale Krzyś uznał, że za bardzo kładzie ...

Do Porto Vecchio wpływalismy już pod wieczór. Najpierw Peacock, potem Spica i razem ruszyliśmy w miasto w poszukiwaniu, polecanej przez znajomego Iwony, knajpki.



Knajpka okazała się być zamknięta, ale było kilka innych a przy okazji zwiedziliśmy kolejne korsykańskie miasteczko. Przypadek chciał, że do tej samej restauracji, co załoga jachtu Spica, na kolację udała się również znana polska celebrytka kulinarna wraz z małżonkiem. Od razu bardziej doceniliśmy smak tamtejszej kuchni.

Wieczorem znów podzieliliśmy się na fanów wina i Dixita...

Kolejny dzień to już początek drogi powrotnej – ruszyliśmy z powrotem na Sycylię, kierując się do Porto Cervo, centralnego punktu Costa Smeralda – riwery północno-wschodniej Sycylii. Porto Cervo uważa się za jedną z najatrakcyjniejszych marin nad Morzem Śródziemnym. Cała miejscowość została zaprojektowana przez znanego włoskiego architekta Luigi Vietti'ego na zlecenie miliardera księcia Agi Chana IV. Postanowiliśmy niezwłocznie udać się na przechadzkę podziwiając przepiękny kościółek Stella Maris.



Potem rozproszyliśmy się w poszukiwaniu odpowiedniej knajpki. Starania zostały zakończone sukcesem, choć oczywiście dania nie dorównywały Kocikowym:





Niektórzy odwiedzili okoliczne sklepy, a było w czym wybierać: Gucci, Prada... inni udali się na Dixita...

Rankiem odzyskaliśmy 100 euro kaucji za adapter do prądu (a w Bonifacio dali na dowód, Porto Cervo to jednak drogie miasteczko) i zaraz po śniadaniu ruszyliśmy powoli w stronę portu docelowego, czyli Mariny Cala dei Sardi. Nikt się nie spieszył, nikt się nie ścigał, tak żeby jeszcze przedłużyć ten ostatni dzień na morzu. Przed portem docelowym stanęliśmy w kolejce do tankowania paliwa, taka kolejka jachtów na wodzie to ciekawa sytuacja... Potem już tylko zacumowaliśmy na dokładnie tym samym miejscu z którego wyruszyliśmy i oddaliśmy się szczegółowym oględzinom służb odbierających jacht.

Wieczorem impreza ewidentnie na smutno. Rano wszyscy pośpiesznie się spakowali i w podgrupach rozpoczęliśmy drogę powrotną.

Na przesiadce w Bergamo mieliśmy 8 h przerwy, to zdecydowanie za dużo, żeby Krzyś usiadł w miejscu. Zorganizowane zostały 2 busy oraz pani przewodnik i mieliśmy okazję solidnie zwiedzić jeszcze to zabytkowe miasteczko, w którym akurat dużo się działo:





Potem już tylko uściski na lotnisku, obietnice, że wymienimy się zdjęciami i że za rok na pewno znów...

Magdalena Tarczewska-Szymańska